XV Ogólnopolski Konkurs na Esej
,,Podróże ze Stasiukiem''

Listopadowe umieranie. Krzątanina, pamięć i wieczność.

Andrzej Zagozda

Kategoria I

Karnawał
Tak do umierania
Podobny
Jak odbicie do postaci
Odbicie w stali zwierciadlanej
Gdzie się realność kształtu traci

W dewocjonaliach z celofanu
Wirując pióropuszem pysznym
jak posuwiście
jak wspaniale
Karnawał jedzie karawanem
Andrzej Bursa, *Karnawał*

Czy tak samo jest tam
W drugim królestwie śmierci
Czy budzimy się zupełnie sami
W godzinę kiedy wszystko w nas
Jest czułością i czystymi łzami
Usta chcą pocałunku
A modlą się do złamanego kamienia
Thomas Stearns Elliot, ***Wydrążeni ludzie***

Przyjdzie śmierć i będzie miała twoje oczy –
ta śmierć, która nam towarzyszy
od świtu do zmierzchu, bezsenna,
milcząca, jak odwieczne poczucie winy
lub bezsensowny nałóg. Twoje oczy
będą pustym słowem,
niemym krzykiem, ciszą
Cesare Pavese, ***Przyjdzie śmierć i będzie miała twoje oczy***

Na początku są wszystkie bibeloty: rozpaczliwie przeniknięte jednorazowością *„gacie, rajtki, biusthaltery, dżinsy, chemiczne koronki, cekiny, złociste badziewia, obcasiki, pumy i lampasy, tygrysie futra z węglowodorów”*, rzeczy bez żadnej wartości przekładane przez kolejne spracowane ręce, wyrywane w bezsensownym pożądaniu, zwijane, upychane i na powrót rozkładane na brudnych ladach szarych targowisk miast bez wyrazu, nieżywych, cuchnących złą pamięcią, rozlazłą, przygniatającą teraźniejszością, wepchniętą w ściany, okna, bramy, butelki wódki, wirującym w gęstym dymie papierosów i zimnym chłodzie wieczoru jakimś nieodgadnionym braku kogoś, kogo nie chcemy pamiętać. Co jeszcze jest: wspomnienie dobrego piekarza i za gorącego chleba, który parzył puste żołądki tam kiedyś, nagły podmuch listopadowego wiatru, który przywołał *„prężącą się do skoku niczym ibris” „krew dawnych zdarzeń”*, dziewczyna, której formuły miłości przemieszały się z „bluzgami”, znajomy właściciel taniego baru, z rzadka ludzie poupychani w cudze szafy, złota, mieszkania, futryny, krzesła, obrusy. *„Żyjemy na zgliszczach, mamy zwęgloną, martwą pamięć”* - powiada Stasiuk schodząc na lewo od Grodzkiej, przemierzając ze swoją rozpaczą

i samotnością, świadomością i opowieścią, śmiercią i pamięcią, czułością i bezlitosnym osądem plac zamkowy, potem Lubartowską w górę i przy jesziwie z powrotem. Stasiuk jak Marlowe: *„zmierzch powtarzał je naokoło uporczywym szeptem, szeptem, który zdawał się wzbierać groźnie, jak szmer zrywającego wiatru: - Zgroza! Zgroza”:* przyjechał tu na koniec świata: patrzeć na ludzi w głupich pozach codzienności, nieświadomych wielkiej wyrwy, wielkiego oszukaństwa w tym wszystkim, patrzeć jak bardzo są martwi, bo weszli do domów tamtych, wepchnęli się tam – jak u Ginczanki – bo złoto *„kusiło jak seks”*, w ich wózki, spojrzenia, rozpięte ponętnie bluzki, spodnie w jaskrawych kolorach. A przecież to jest brama do *„grobu*”, czyli wschodu - tu wszystko *„łuszczy się i odpada”*, nad tym wisi *„wilgotny cień”*. *„Równoległe światy”*, pulsujące podskórnie, przełamujące całą powierzchowność, a wypierane w bezsensownych afektacjach, tysiącach gestów, bibelotach składanych i rozkładanych, mniej czy bardziej udanych podróbkach istnienia, wybuchły Stasiukowi od razu *„trzecim spojrzeniem”*, jak pisał Edward Stachura, i uświadomiły jedno: cały dzisiejszy Lublin to *„jakaś smętna parodia, jakaś karykatura tamtego miasta, które pochłonął ogień*.” Patrzy na to rozpaczliwe rojowisko, kłębowisko tymczasowości podróżnik i marzy o potężnym podmuchu wiatru, który porwie raz na zawsze, bez przebaczenia rzeczy, bibeloty, śmieci, niedopasowane ubranka, przemacane futra, niemodne buty, całą tą chemię, porwie wszystko, co przesłania i zakrywa, zabija w rutynie prostych czynności ontyczną ciszę, grozę samej przemijalności, *„czarny bruk”*, *„ciemny dół”*, *„w tym miejscu, które umarło i już nikt nie zrobi niczego na stałe”*, bo inaczej jego istnienie, krzątanina wokół nieistotności będzie tylko umieraniem, a co najwyżej rachityczną i kruchą pracą grabarza.

1 (Fragment historyczny)

Świat jest okrutny, pożera się nawzajem,
jest okrutny, okrutny
Adam Zagajewski, *Okrutny*

Nikos Kazantzakis, autor jakiegoś ostatecznego poematu, którego nikt nie czytał, dwóch cudnych opowieści, które przeniesione na ekran przez świetnych reżyserów przestały być jego dziełami i nieprzetłumaczonych z hermetycznego greckiego na żaden ludzki język szkicowników podróżnych, napisał po *„czarującej, wyczerpującej udręce” ταξίδι* po Peloponezie bez gniewu i bez zazdrości o spojrzeniu obcokrajowca, że *wyzwolone od uczuciowych zawiłości, pędzi i znajduje istotę Grecji*, której on sam nie jest i nigdy nie będzie w mocy pojąć. Podobnie mam ze Stasiukiem i jego na przemian czułym i wulgarnym, pełnym

przyziemności i wysokiego diapazonu pisaniem o Lublinie, moim rodzinnym mieście, przez niego nazwanym „grobem”. Tak, bo Wschód jest dla autora *„Jadąc do Babadag”* właśnie mogiłą, splątaniem obalonych ciał, prochem po spopielonych, tłuszczem, który osadzał się na oknach o pięć kilometrów odległych od Bełżca domów, a baby co dzień wycierały go zobojętniałe, a może w krzątaninie codzienności zwyczajne, tym samym ruchem, którym parę lat wcześniej przecierały je z kurzu idącego od drogi, smoły i innych utrapień. Baby, dla których życia uczony termin *bystanders* budzi mój uśmiech i utwierdza na nowo w przekonaniu, że cały nasz dykcjonarz, te wszystkie pomocnicze formułki, kategorie, księgi są nic nie warte. Myślę, że to było to *„szuranie i postękiwanie”*, to *„szu-szu-szu*”, dreptanie, gotowanie zupy, ciągłe przesuwanie czegoś w domu, niepokój, ta samotność na werandzie, tęsknota za siódmym piętrem w bloku matki Stasiuka. Jakoś to się łączy – te odwiedziny u matki żałosne, takie same od lat, będące kompulsywnym wyrywaniem pozostałości, odpadów pamięci ze śmietnika przestrzeni pomiędzy werandą a kuchnią i te baby. To jest nienapisany wiersz Różewicza. O spracowanych rękach, tych bab, które gniotą kapustę, przędą, ostrożnie, lecz pewnie plewią, wyciskają, pracują nożem, zaraz ścierką, sierpem, potem ściskają kanty łóżka podczas wymuszonego stosunku. A potem ten tłuszcz. Listopad 1942.

2

Pisarstwo Andrzeja Stasiuka funkcjonuje na trzech poziomach wzajemnie się na siebie nakładających, przenikających, ale transcendentalnych i samoistnych. Pierwsza płaszczyzna dotyczy **pamięci mimowolnej**, pobudzanej nagłą czułością wobec przedmiotów wydobywanych z zagraconych śmietnisk, powrotami do miejsc, zapachów, widoków – na pamięci w sensie ścisłym zasadza się całe podróżowanie autora *„Opowiadań galicyjskich*”. Drugim poziomem jest wręcz **obsesyjna świadomość przemijania świata**, znikania, ucieczek, emigracji, wykorzenień historycznych - przenika ona odwiedziny w domu matki, spacer po Lubartowskiej, także ten garaż z Dżerym. Trzeci poziom to **wyostrzone spojrzenie na teraźniejszość**, bezlitosne, bez tej niezbędnej bezmyślności, pieczołowicie nanizujące nitki jałowej egzystencji na przędzę opowieści. Wszystkie te spojrzenia jednocześnie – wzajemnie odniesione – tworzą właśnie tę metafizykę Stasiuka. Są one tym, co Edward Stachura nazywał „*trzecim spojrzeniem*” w swym arcydzielnym „*Jednym dniu*”, albo *„całą jaskrawością*”. Nie mam śmiałości tłumaczyć tych pojęć.

3

W jakim celu podróżuje Stasiuk? *„Jechali wskroś pustki, by gdzieś pozłocić tę gwiazdę. Wydobyć ją z burej materialności, uwolnić z podmokłego, przedwiecznego krajobrazu i choć trochę naznaczyć nadprzyrodzonością."* Myślę, że *„pozłacanie gwiazdy"* wydarzyło się w Kaplicy św. Trójcy, a nie ma w literaturze polskiej piękniejszego opisu tego XV wiecznego sklepienia niż we *Wschodzie,* a przecież pisał o nim także Gustaw Herling-Grudziński. Wokół jednorazowość, groza, ciemność, samotność, napierająca zła materia, *„diabelski świat"*, a tu zastygły spokój ontyczności, cisza przepływającej wieczności, *„złocisty płaszcz nadprzyrodzoności"* narzucony, jak chłodna kołdra na rozpalone ciało, podczas bezsennej nocy, na to listopadowe umieranie, na zapomnienie popiołów, tłuszcz na oknach bab, spalone miasta. Cały *„świat wielki i groźny" „skrył się w bożej opatrzności, zawinął w bożą łaskę."* Nie było tu ze Stasiukiem cienia, było światło, sama pewna, nasycająca jasność.

„Bardzo możliwe, że człowiek odczuwa swoje istnienie dopiero wtedy, gdy czuje na skórze dotyk bezimiennej przestrzeni" – pisze Stasiuk w *„Jadąc do Babadag*". Więc *„podróż do jądra metafory*" to podróż do grobu. Jeszcze w czasach *„Jadąc…*" dopadał go strach przed nieskończonością, tchórzliwość wobec rozpłynięcia się w przestrzeni: to jest niedobra książka, fałszywa w miejscach, gdy ma przejmować, za wiele wielkich słów bez znaczenia, trochę efekciarska, te metafizyczne epifanie nie przekonują jeszcze jak we *Wschodzie,* ale jest tam zdanie, które muszę przywołać: *„chciałbym być pochowany w tych wszystkich miejscach, gdzie byłem i jeszcze będę.*" Bo Stasiuk nie chce tych wymyślnie zdobnych nagrobków, hieratyczności pogrzebu, ciała w jednym miejscu – żył w świecie, ciągle uciekający, na stepach, w ciemnych pokojach pod torami, w których nasłuchiwał pociągowego turkotu, w namiotach pośród nieprzeniknionej ciszy, przyczepach, wdychając dym papierosowy właściciela, żył pośród umarłych, w skotłowanych opowieściach matki, wstających z grobu starych partyzantach, duchów rodziny, ojca – i tak pragnie być pochowany wszędzie, bez statyczności grobu. Pisze podróżnik, że utraciliśmy wiarę, bo gdybyśmy wierzyli tak bez pamięci i do końca, to nie balibyśmy się pochowania na stepie, zjednoczenia ciała z ziemią, z pyskami psów, z dziobami sępów, z zębami hien. Bóg nas tam znajdzie.

„Na Altan Els było cicho", zimny chłód świtu, całkowita samotność, ale nie taka paląca, więc raczej: odosobnienie, z każdej strony, gramolącego się ze śpiwora i wyczołgującego się z namiotu Stasiuka, wyschnięty step, na górze cierpliwe sępy, całkowite

obojętne. Autor *Wschodu* stanął twarzą w twarz ze sferą zastygniętej ciszy ontyczności, samego bytu – znaki śmierci, wytartych kości, przetrzebiona wiatrem ziemia, w którą wsiąkały rozkładające się ciała, całkiem horyzontalna nieskończoność i niesamowitość spokoju. Pamięć nie pulsowała bolesnymi wspomnieniami samotności, rozpaczy, desperacji, utrat; donikąd nie uciekał czas; sama teraźniejszość niepokryta sztuczną afektacją gestów. *„Pomyślałem, że mógłbym tak umrzeć."*

4

Wszystko się w tych podróżach Stasiukowi pomieszało: jego pragnienie wyjaśniania obcości matki i ojca w świecie, bo rzuceni w obce miasta, wepchnięci do bloków, fabryk, pożydowskie mienia, pragnienie *„zrozumienia czegokolwiek z własnego życia"*, więc nad rzekę, za chłopcami jakimiś z gwiazdą, bo on też kiedyś tu śnił o gwiazdach, pijąc tanie wino, picie wódki smakującej *„jak powietrze"* w hotelowym pokoju, rozmowy z Rumunami, Cioran, śmierć, bibeloty. *„No bo tak jak to jest? Że z czasem oddalamy się od miejsca własnych narodzin i to ma być ucieczka, zdrada, emigracja? I wszystko, co robimy jest próbą powrotu? Że życie to wygnanie? (...) Jak ten mój Bug, nad który muszę czasami powrócić, żeby choć na chwilę wymknąć się wygnaniu i przechytrzyć samotność.*" Tak, bo Stasiuk jest samotny w tej podróży jak ci frustraci w radio, którym się przysłuchuje; jest samotny pod torami i na Lubartowskiej, na Ałtaju i w Chinach, na lotnisku i w śpiworze, ale to wszystko wymierzone jest głównie przeciwko tej pierwszej samotności. Bo ona prawdziwe wybucha nie na *„bezimiennej przestrzeni*", także nie tam objawia się prawda istnienia, a u matki przy stole i na werandzie pośród bezużytecznych rzeczy, muzyki zagłuszającej *„pustkę pamięci"*, wzajemnych monologów i tej samej od lat zupy, i bezsensownej krzątaniny. I od tej prawdy Stasiuk ucieka, wyjeżdża nie mówiąc: dokąd i w jakim celu, prawdę mówiąc sądzę, że sam nie bardzo wiedział, gdzie i co go gna, nie oglądając się, szybkim ruchem przecierając przednią szybę, tylną pozostawiając zaparowaną, odjeżdża. Minione *„pręży się do skoku niczym ibris"* w głowie i to wystarczy, by nieustannie być w podróży.

***

A my? Mówimy, piszemy, rośniemy, zakochujemy się i rozstajemy, tańczymy i pijemy wódkę, gubimy i odnajdujemy, wyjeżdżamy i powracamy, mamy swoje oczarowania i swoje rozpacze, dlatego niech mi Stasiuk nie mówi, że jesteśmy martwi. Jesteśmy całkiem żywi, dopóki słońce wschodzi na Ałtaju i boskość przegląda się w nas w Kaplicy św. Trójcy. Zresztą, kto jak nie autor *Wschodu* mi to uświadomił.